płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 16—31 · VIII · 1987

16

Bibl. WSP
Akc./C Bryt

Fot. Ryszard Borowy

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

— Dlaczego ty, tato, nie zostałeś lodziarzem, lecz tylko inżynierem?

— Dlaczego mam się myć? Przecież ja będę kominiarzem!

— Nie było zielonych nici, więc kupiłem lody!

● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ●

NA WYSPIE Maderze można spotkać dziwne dorożki, zaprzężone w woły. Pojazdy te mają wygodne wnętrze ozdobione firaneczkami, które chronią przed upalnym słońcem. Oryginalność tych dorożek polega na tym, że zamiast kół mają płozy. A przecież na Maderze śnieg nigdy nie pada. Pojazdy te jeżdżą po jezdniach wyłożonych dość śliską kostką.

●

WYSPY LACHOWSKIE, znajdujące się daleko na północy Związku Radzieckiego, w pobliżu półwyspu Tajmyr... giną. Pokryte są wiecznym lodem, który niedawno zaczął topnieć. Obniżyła się przez to wysokość wysp. Lody ustąpiły już tam na obszarze ponad miliona kilometrów kwadratowych. Przypuszcza się, że wyspy te mogą z czasem zniknąć.

●

SZKŁO jest zazwyczaj cienkie i kruche, a przedmioty wykonane z niego łatwo się tłuką. W Związku Radzieckim wyprodukowano szkło o niezwykłej wytrzymałości. Milimetrowa kostka takiego szkła wytrzymuje ciężar 200 kg, nawet jeżeli spada on na nią z wysokości 2—3 metrów.

SZTUCZNE lodowiska buduje się już od ponad 100 lat. Pierwsze na świecie sztuczne lodowisko zbudowano w 1876 r. w Chelsea w Wielkiej Brytanii.

Drugie z kolei sztuczne lodowisko w Europie otwarto w 1881 r. we Frankfurcie nad Menem.

●

WIELKIM bogactwem naszego kraju, jeszcze nie w pełni wykorzystanym, jest gaz ziemny. Jego zasoby w Polsce ocenia się na kilkaset miliardów metrów sześciennych. Złoża gazu rozrzucone są na terenie całego kraju. Bogate złoża gazu występują na Podkarpaciu, w Rybnickim Okręgu Węglowym, na Pomorzu i w Wielkopolsce, a także w okolicy Zamościa.

●

POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE przewożą rocznie około miliarda osób i blisko pół miliarda ton towarów.

W Polsce przeszło 2 mln osób dojeżdża koleją do pracy i do szkoły, co najmniej dwa razy dziennie. Inni obywatele naszego kraju jeżdżą rzadziej. Ale wyliczono, że przeciętnie każdy Polak podróżuje koleją 33 razy w roku.

Nasza okładka

O grzybach szlachetnych przeczytać możecie na str. 28—29

WAKACJE

Niepotrzebne nam kalosze,
niepotrzebny nam parasol,
z nami, Słońce, chodź nad wodę,
na poziomki chodź do lasu.

Zaprosimy cię na lody
i na malinowy sok.
Spędź wakacje razem z nami,
nim się zacznie szkolny rok.

Tadeusz Śliwiak
Rys. Joanna Kusek

CUD kwitnących SADÓW...

Kiedy się obudziłem, światełko mojego telewidu mrugało bardzo szybko i sygnał odzywał się z dużą częstotliwością.

Pospiesznie wcisnąłem klawisz z napisem „Szkoła" i na ekranie ukazała się gniewna twarz naszego wychowawcy.

— No, nareszcie! — usłyszałem jego głos. — Że też ty zawsze musisz się zgłosić ostatni! Ile można czekać na ciebie!

— Ja bardzo przepraszam... zaspałem... Dzień dobry! — bąknąłem, niezupełnie jeszcze rozbudzony.

— Dobrze, dobrze. Tym razem nie obniżę ci jeszcze stopnia z pilności i obowiązkowości. A teraz już nie marudź, wyświetlam ci zadanie.

Szybko przeniosłem je na mój domowy ekranik.

— Na rozwiązanie macie pół godziny. Po tym czasie — nauczyciel zerknął na zegarek — dokładnie o dziewiątej, proszę, żeby wszyscy uczniowie zgłosili się. Bez ponaglania — dodał z naciskiem. A ja wiedziałem, że to odnosi się do mnie.

Twarz matematyka znikła z ekranu, wyłączyłem telewid.

Szybko zerwałem się z łóżka, pozałatwiałem wszystkie sprawy toaletowe i pobiegłem do kuchni. Śniadanie dla mnie stało przygotowane na małej tacce. Połknąłem je i wróciłem do łóżka.

Nastawiłem licznik czasu na odstępy pięciominutowe i zabrałem się do zadania.

Na pierwszy rzut oka nie wydawało się najłatwiejsze. Pamiętałem jednak wskazania wszystkich nauczycieli, żeby jak najczęściej trenować mózg, nie korzystać bez potrzeby z żadnych technicznych ułatwień. Spróbowałem więc rozwiązywać własnymi siłami. Niestety. Bez skutku. Posłużyłem się więc komputerkiem matematycznym. Odpowiedź brzmiała:

„Za-da-nie jest zbyt ła-twe, roz-wiązuj sam".

Załatwił mnie, mądrala!

Z licznika rozległ się sygnał i głos: „Minęło pięć minut".

Spróbowałem jeszcze raz. Mózg mój jednak pracował zbyt leniwie. Przypomniałem sobie, że nie wolno zaczynać rano żadnej pracy bez krótkiej bodaj gimnastyki.

Ba, ale nie wtedy, kiedy się człowiek budzi o pół godziny za późno!

Siedziałem nad pustą kartką, aż odezwał się następny sygnał. Zostało mi więc tylko dwadzieścia minut. Sprawa przybierała niewesoły obrót.

Ale od czego są koledzy.

Nacisnąłem klawisz z napisem „Maciek". Najlepszy matematyk w klasie.

Na ekranie zobaczyłem nachylonego pilnie nad zeszytem kumpla.

Odwrócił głowę, na jego twarzy malowało się roztargnienie.

— O co chodzi?

— Nie daję sobie rady — powiedziałem żałośnie. — Może byś pomógł...

— Może bym i pomógł, ale nie tobie. Stać cię na rozwiązanie tego zadania. Musisz się zmobilizować.

— Dziękuję za cenną radę — powiedziałem i wyłączyłem się.

Połączyłem się z Jarkiem. Siedział przed telewizorem, gapił się w ekran. Śmiał się jak opętany. Sięgał przy tym co chwilę do talerzyka, na którym leżało kilka żółtych tabletek. Chyba były to bułki z serem.

Patrzyłem zdumiony. Odwrócił głowę.

— A to ty, Jacek... Nie przeszkadzaj... Lepiej włącz sobie dwunasty kanał. Mówię ci, bomba. Komedia z archiwum. Francuska. Wiesz, z tym zabawnym Louisem de Funesem. Pęknąć można...

— Lata osiemdziesiąte dwudziestego wieku...

— Coś w tym rodzaju! Ale heca!

Znów wpatrzył się w telewizor. I znów zaczął ryczeć ze śmiechu.

— A co z zadaniem?

— Mama coś tam wykombinuje. Powie, że mnie brzuch bolał...

— Nie byłoby w tym nic dziwnego. Po takim śniadaniu!

Zatrzymał rękę nad talerzykiem.

— O, rany! — zawołał. — Zjadłem wszystkie bułki!

Wyłączyłem się, zwłaszcza że mój licznik miłym głosikiem oznajmił, iż minęło już piętnaście minut.

Kto mi jeszcze został? Hanka oczywiście! Że też wcześniej o niej nie pomyślałem. Świetna koleżanka, a do tego prymuska. Na pewno nie odmówi pomocy.

Nacisnąłem jej klawisz. Obraz się nie ukazał. Widocznie inni wpadli na ten sam pomysł co ja. Leniwe mózgi... Wreszcie, kiedy licznik ogłosił dwadzieścia minut, udało mi się. Na ekranie ukazała się twarz Hanki.

— Jeszcze i ty! — zawołała, ale w jej głosie nie było gniewu. Była wyraźnie rozbawiona. — Jesteś piąty! Co się z wami dzieje! Jak tak dalej pójdzie, mózgi wam zupełnie wyjałowieją.

— A ty już rozwiązałaś? — Zdziwiłem się.

— Jak widzisz.

Rzeczywiście, dopiero teraz zauważyłem, że siedziała przed czytnikiem i wyświetlała stronę po stronie książkę wielkości pudełka zapałek.

— Co to jest? — zapytałem. — Jakieś opasłe tomisko!

— Ma prawie pięćset stron. Wspaniała rzecz! „Fin de siècle".

— Co to znaczy?

— Ale z ciebie osiołek! To znaczy koniec wieku.

— Powieść futurystyczna? Koniec naszego wieku?

— Nie. Dwudziestego. Nie masz pojęcia, człowieku, jaka to pasjonująca lektura. Cóż oni mieli wtedy za problemy! Walki, wojny, choroby, epidemie i wieczne zbrojenia. I wciąż poszukiwali nowych broni. Chociaż

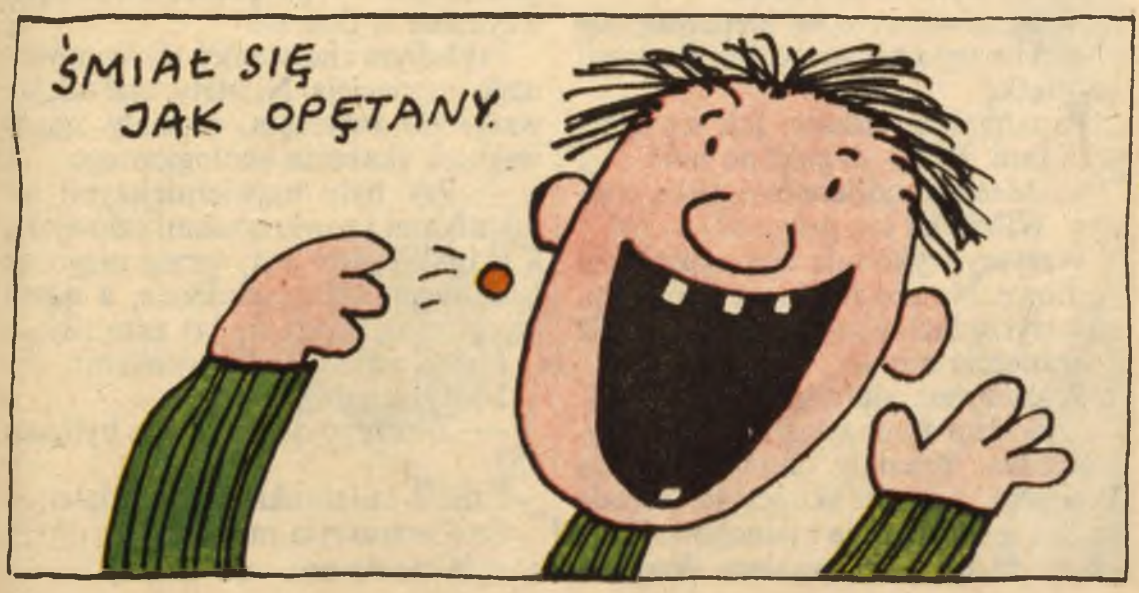

magazyny były tego pełne...

— Wiem, słyszałem też, że próbowali robić nawet wojny gwiezdne...

— Nie zdążyli...

— A dzieci musiały zrywać się z rana i biec do szkoły...

— Takie ci się to wydaje okropne? To dowiedz się, że niektóre dzieci umierały z głodu, bo nie wystarczało dla wszystkich żywności...

— Nie mieli tabletek?

— Kiepsko uważasz na historii — powiedziała.

W tej chwili mój licznik oznajmił, że przeszło już dwadzieścia pięć minut.

— Muszę się pospieszyć, mam już tylko pięć minut.

— Zaraz ci wszystko wytłumaczę — powiedziała.

— Nie mam czasu na żadne tłumaczenia. Jeżeli chcesz mi pomóc, daj rozwiązanie.

— Dobrze — powiedziała. — Ale to już ostatni raz!

Byłem uratowany. Licznik nadał ostatni sygnał, a ja nacisnąłem klawisz szkoły.

Tym razem twarz matematyka na ekranie była uśmiechnięta.

— Proszę, proszę, co za niespodzianka! — zdziwił się. — Jacek jest pierwszy! Naprawdę rozwiązałeś to zadanie? Było dość trudne.

Minę miałem trochę niepewną, ale on chyba tego nie zauważył. Postawił mi piątkę.

Papatrzyłem jeszcze, jak się zgłaszali inni. Kilku złapało po lufie...

— Macie dwudziestominutową przerwę. Wiecie na co, prawda?

Wszyscy wykonują teraz ćwiczenia ruchowe. Na rowerach, na wrotkach, na przyrządach gimnastycznych. Całe dwadzieścia minut.

Wyłączyłem się szybko ze szkoły. Poszukałem dwunastego kanału w telewizorze. Niestety, komedia z de Funesem już się skończyła, leciała teraz kreskówka dla maluchów. Przekręcałem kanał za kanałem. Wreszcie znalazłem coś dla siebie. Też film archiwalny. Mój ulubiony western, z dzielnym szeryfem, który zawsze jest dobry i sprawiedliwy.

Pomyślałem, że kiedy już wyjdziemy z naszych hermetycznych domów, kiedy ziemia, woda i powietrze będą już gotowe na nasze przyjęcie, wolne od wszelkich zanieczyszczeń, zostanę szeryfem.

Tylko... czy wtedy potrzebny będzie komu jakiś szeryf?... Tatuś twierdzi, że ludzie będą zupełnie inni, będą żyć w zgodzie i kochać się... Ale kto wie, jak to tam będzie?...

Zamyśliłem się i nie zauważyłem, że mruga już czerwone światełko. Czas do szkoły... Nacisnąłem klawisz.

Na ekranie ukazała się uśmiechnięta twarz naszej pani od biologii, najmilszej nauczycielki. Zawsze się uśmiechała i była bardzo wyrozumiała.

Mieliśmy lekcję o zwierzętach, które towarzyszyły dawnemu człowiekowi. Tym razem były to psy. Oglądałem z zachwytem barwny filmy z życia tych zwierząt.

Rozkoszne szczeniaki, takie małe i bezbronne, wspaniałe i dzielne psy obronne, psy-przewodnicy niewidomych, ratownicy z górskiego pogotowia, psy pasterskie, które pilnowały stad owiec... I po prostu zwyczajne, trzymane w domach.

Jakżebym chciał mieć takiego wiernego przyjaciela! Niestety, one też, jak wszystkie zwierzęta, musiały zginąć wskutek skażenia ekologicznego...

— Psy były najwierniejszymi sojusznikami i towarzyszami człowieka, a jednak często były przez niego źle traktowane, bite, głodzone, a nawet wypędzane, kiedy się już znudziły...

Poczułem łzy pod powiekami.

I usłyszałem głos Joasi:

— Dlaczego dawni ludzie byli tacy źli?

I moja koleżanka rozpłakała się.

Pani wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do nas.

NA EKRANIE
UKAZAŁA SIĘ...

— Teraz będzie już zupełnie inaczej...

— No, kończymy na dzisiaj. Pamiętajcie, zaraz będzie lekcja esperanta. Uczcie się pilnie. Esperanto będzie wspólnym językiem. Powstanie jedna wielka ojczyzna wszystkich ludzi. Oczywiście, poszczególne narodowości zachowają swoje odrębne języki, aby móc korzystać ze wszystkich dzieł kultury, które ocalały i które utworzył człowiek.

Lekcje się skończyły.

Byłem trochę głodny, łaziłem po kuchni, ale w słoikach nie znalazłem nic gotowego. Musiałem poczekać na mamę.

Wkrótce usłyszałem szum helikoptera i zaraz potem przez szczelny długi rękaw wejścia wcisnęła się mama, a za nią ojciec. Przeszli bezpośrednio stamtąd do rozbieralni, aby zdjąć pyło- i promienioodporne szczelne kombinezony. Mama spędziła w rozbieralni trochę więcej czasu. Wiadomo, kobieta! A teraz zapanowała nowa moda, kombinezony miały więcej różnych ozdobnych klamerek i guziczków. Zdejmowanie tego stroju było bardziej skomplikowane.

Tata natychmiast sprawdził szczelność otworu prowadzącego z ubieralni, to należało do jego codziennych obowiązków, a mama poszła do kuchni. Za chwilę doleciały stamtąd smakowite zapachy.

— To chyba zupa grzybowa?

— Nie, raczej ogórkowa — zgadywaliśmy z tatą.

Mama przyniosła talerze i rozstawiała je na stole. Były to jakby miniaturki tych z filmów. Bo też nasze jedzenie, chociaż dzięki chemikom pachnące podobnie do dawnych potraw, to były tylko małe lub nieco większe pigułki.

Mama położyła każdemu na talerzu po dwie tabletki brązowego koloru.

— A mówiłem, że grzybowa — zawołałem triumfalnie.

— Zgadłeś — roześmiała się mama.

Potem była zmiana talerzy. Pojawiły się na nich duże, okrągłe tabletki koloru ciemnoczerwonego — pieczeń wołowa i jarzyny — po trzy tabletki pomarańczowe — marchewka, zielone — sałata, białe — kartofle.

Był też deser. Do odkażonej i chemicznie oczyszczonej wody mama wrzuciła kilka różowych tabletek — mieliśmy aromatyczny kompot malinowy.

Siedzieliśmy jeszcze przy stole; to były dla mnie najmilsze chwile dnia.

Tata wytarł usta serwetką i powiedział:

— Wydarzyło się w naszym laboratorium coś niezwykle ciekawego... — Urwał i popatrzył kolejno na mnie i na mamę. — Nie wiem jednak, czy powinienem wam o tym powiedzieć. To jeszcze sprawa w stadium eksperymentalnym...

— Powiedz, powiedz, tato, koniecznie! — zawołałem.

Mama także patrzyła na niego błagalnie.

— Hm... Nie chciałbym budzić w was zbyt wiele nadziei... To doświadczenie o niczym jeszcze nie świadczy...

— Mów już, bardzo cię proszę — w oczach mamy było oczekiwanie i nadzieja. Zbyt dużo nadziei, czego obawiał się tata.

— No, więc dobrze. Powiem. Jak wiecie, w naszym laboratorium przechowujemy trochę rozmaitych nasion. Między innymi nasiona zboża. Z pewnością wiesz, Jacku, że ludzie robili z tego chleb...

— Ojej, oczywiście, że wiem. Uczymy się o tym wszystkim na lekcjach biologii — zawołałem.

— Więc to ziarno dzisiaj u nas zakiełkowało. Na naszym poletku doświadczalnym. I tym razem... — zawiesił głos, popatrzył na nas — nie ma w nim śladu skażenia...

— Czy to możliwe?! — zawołała mama.

I zamyśliła się.

— Czy to możliwe — powtórzyła cicho po chwili — że kiedyś wyjdziemy stąd i zobaczymy te wszystkie wspaniałe rzeczy, których nigdy nie widzieliśmy... Że będziemy mogli leżeć na zielonej trawie i patrzeć w niebo... i oglądać cud kwitnących sadów...

— Tak, to jest możliwe — powiedział ojciec. — I tym razem ludzkość będzie lepsza i mądrzejsza. Przecież i nad tym pracujemy w naszych instytutach. Musimy się doskonalić i doskonalić innych. Musimy w ludziach obudzić całe zasoby miłości, jakie w nich drzemią, musimy być dobrzy i uczciwi.

Zrobiło mi się trochę wstyd za dzisiejsze oszustwo z zadaniem.

Ojciec podniósł się od stołu i zawołał:

— A teraz wyprawa rowerowa. A później mecz siatkówki. Musimy dbać nie tylko o nasze charaktery, ale także o nasze organizmy. Musimy wyjść stąd silni i zdrowi.

Wbiegliśmy do specjalnie klimatyzowanej sali z górskim powietrzem, gdzie stały nasze trzy rowery. Wskoczyliśmy na nie i zaczęliśmy pedałować.

Pedałowaliśmy wytrwale, a dokoła nas, na ścianach przesuwały się cudne krajobrazy: góry w słońcu i o zmierzchu, i morze, i jeziora, i pola, na których dojrzewało zboże. Słyszeliśmy śpiew ptaków, szczekanie psów, gwar głosów, śmiech i radość. I było słońce i wiatr, i deszcz, i śnieg, który pokrywał wszystko miękkim puchem, i wiosna, i wreszcie te cudnie kwitnące sady, o których tak marzyła mama...

Przesuwało się przed naszymi oczami to wszystko, co człowiek utracił.

Pedałowaliśmy na rowerach wytrwale... ku przyszłości. Innej, lepszej, wspanialszej.

Wanda Osuchowska-Orłowska
Rys. Bohdan Butenko

MARIA I MAGDALENA

Na obrazie Kossaka
dziewczynki jadą bryczką
przez zielony las.
Na obrazie zatrzymał się czas.

Zatrzymał się koń kasztanek,
stanęły drzewa malowane,
zastygły dziewczęce spojrzenia.

Na obrazie
Maria i Magdalena.
Kim będą dziewczęta
w powiewnych kapeluszach?
Dokąd dojedzie bryczka,
która w drogę wyrusza? (...)

Jedzie, jedzie bryczka
z koniem malowanym,
jedzie, jedzie w Nieznane.

Danuta Gellnerowa
Rys. Teresa Jaskierny

DMUCHAWCE

Dmuchamy na dmuchawce
i lecą wysoko,
może któryś zastuka
w twoje, kolego, okno?

Wiem, że mieszkasz w wieżowcu
na dziesiątym piętrze,
dmuchawiec tam doleci
na lekkim letnim wietrze.

Dmuchamy na dmuchawce
i lecą daleko,
do ciebie, koleżanko,
za siódmą górą, rzeką.

Poznaliśmy się dawno,
zapomniałaś o mnie,
może dmuchawiec nasze
wakacje ci przypomni?

Tadeusz Gicgier

KŁÓDKA

Pewnego słonecznego dnia pan Grzegorz Smętny, skrzypek miejscowej orkiestry i przyjaciel detektywa Tutama, zawiadomił swego znakomitego przyjaciela, że w domu, w którym mieszka, zdarzyło się coś, co go jako detektywa z pewnością zainteresuje. Ponieważ pan Smętny był człowiekiem bardzo odpowiedzialnym, detektyw Tutam natychmiast udał się do niego.

Okazało się, że chodziło o wrzask, przeszkadzający panu Smętnemu w muzykowaniu i o... huśtawkę. Sprawa na pozór niewinna, ale...

Dom, w którym mieszkał pan Smętny, wznosił swoją pięciopiętrową oficynę przy uliczce dość porządnej, ale bardzo wąskiej. W domu tym mieszkało mnóstwo dzieci, które nie miały się gdzie bawić. Wiadomo, że „dwa ognie" na jezdni to sprawa niebezpieczna i surowo zakazana, że „klasy" na wąskim chodniku, gdzie wciąż ktoś przechodzi, to nic przyjemnego, że skakanka to rzecz dobra dla małych dziewczynek. A w dodatku ciągłe pretensje o krzyk. Raz po raz w którymś z okien ukazywała się jakaś ponura twarz wołająca: Ciszej tam!!

Na szczęście jednak dla małych mieszkańców tego dużego domu sprawą dzieci i zabawy zajął się Komitet Blokowy. Wymyślił on rzecz wspaniałą: wygospodarował kawałek placyku na tyłach kamienicy, która „plecami" wychodziła na skarpę i zieleń pokrywającą zbocze, i przeznaczył go dla dzieci. Wspaniałe zarządzenie! „Dwa ognie" przeniosły się z uliczki na ten placyk. Ucichło od frontu, krzyk przeniósł się na zaplecze. Teraz z drugiej strony zaczęły się pojawiać wściekłe twarze, wołające: Ciszej tam! Ale kogo by te uwagi mogły obchodzić, skoro sam Komitet zezwolił na harce! Kochany Komitet, bo nie dość na tym, że przydzielił ten placyk dzieciom, ale w dodatku ustawił na nim najprawdziwszą w świecie huśtawkę! Co prawda, jedna huśtawka to było trochę za mało, bo dzieci było dużo, a ona jedna — ale zawsze...

Najodważniej, bo na stojąco, i najwyżej, bo aż pod niebo, huśtał się Sławek, chłopiec zręczny jak sprężyna, o nieziej sobie wadze, ale i muskułach, jak się patrzy. Niewiele gorzej od niego robił to samo Edek, chłopiec giętki jak tyczka ze szklanego tworzywa do skoków o tyczce. Między tymi dwoma huśtawkowymi mistrzami wywiązała się huśtawkowa rywalizacja, a z tej rywalizacji walka o dostęp do huśtawki, przez co właściwie nikt inny poza Sławkiem i Edkiem nie miał dostępu do zabawy, bo z tymi siłaczami nie warto było zaczynać. Cierpieli na tym pozostali amatorzy huśtawkowego sportu. Na przykład Piotruś, chłopczyk mały i uśmiechnięty, któremu uśmiech gasł na buzi, gdy przyglądał się huśtającym, bez nadziei zajęcia ich miejsca, na przykład Elżunia, dziewczynka podskakująca jak ptaszek, taka mała Szewińska od skakanki, na przykład Gucio, sztukmistrz rowerowy, co umiał zakręcać bez trzymania. Na temat tego dostępu do huśtawki wynikały między dziećmi spory, kończące się zespołowym wrzaskiem. Wtedy w oknach ukazywały się wściekłe twarze. Najbardziej wściekłą twarz w takich momentach miała pani Melania Drążek, osoba wiecznie ponura i nieżyczliwa.

Razu pewnego rwetes wokół huśtawki osiągnął swój szczyt. A stało się to wtedy, gdy na tle normalnego sporu między pokrzywdzonymi a parą huśtawkowych mistrzów doszło do awantury między nimi — między Sławkiem i Edkiem. Taka mniej więcej była ich wymiana zdań:

— Ty! Pilot! — wołał z ziemi Edek. — Złaź! Orbitujesz już pół godziny!

— No to co z tego? — wołał z powietrza Sławek. — Będę orbitował i drugie pół! Muszę pobić rekord Stafforda!

— Ty rekord, a ja ciebie! Złaź, mówię, bo ci zrobię przymusowe lądowanie.

— A spróbuj! Wiem, dlaczego ci tak pilno! Chcesz się popisać przed tą laleczką z okna, że potrafisz lepiej niż ja...

— To nie twoja rzecz, co ja chcę! Złaź!

— Ciszej tam — warknęła pani Drążek z okna na pierwszym piętrze.

— Złaź! Złaź!! Złaź!! — wołały chórem zniecierpliwione dzieci.

— Dzieci kochane! Ciszej! Struny mi pękają! — lamentował pan Smętny.

Edek był wściekły do tego stopnia, że złapał huśtającego się Sławka za nogę i ściągnął z obłoków na ziemię.

— Jak tak, to ani ty, ani ja! — sapał w furii Sławek i chwycił z całych sił huśtawkę.

— Puszczaj, bo dostaniesz!

— Nie będziesz się huśtał!

— I ty też nie!

— No, to nikt się nie będzie huśtał!

— No, to nie!

— Najlepiej, żeby nikt, jak tak — zawołał cienkim głosem Piotruś.

— No pewno — przytakiwała Elżunia. — Jak nam nie dają, to niech i sami figę mają!

— Najlepiej, żeby tej huśtawki wcale nie było! — piszczał Piotruś.

— No pewno! Albo każdy, albo nikt! — wołał ktoś z wyczekujących.

— Precz z taką huśtawką!

— Ciszej! Bo sprowadzę milicję! — warczała pani Drążek.

Do czego to doszło... Zgoda buduje, niezgoda rujnuje. Przykry nastrój zapanował w tej skądinąd sympatycznej gromadce. W oknach widać

było twarze pani Melanii, pana Smętnego, „laleczki" i wiele innych. W sprawę wmieszał się sam przewodniczący Komitetu Blokowego.

— Moi kochani mali obywatele! — przemówił uroczyście. — Nie po to Komitet za pieniądze społeczne ufundował wam huśtawkę, żebyście z niej zrobili kość niezgody. Zależało nam na krzewieniu kultury fizycznej, a wy z tej kultury kość... Musicie sami tę sprawę uporządkować między sobą!

To było wieczorem. Mali obywatele czuli się fatalnie. Każdy na dnie serca nosił truciznę. Każdy wiedział, choć o tym głośno nie mówił, że sprawa huśtawki kompromituje ich wszystkich. To złe samopoczucie sięgnęło jednak dna, gdy następnego ranka stwierdzili, że huśtawka jest unieruchomiona, że metalowe pręty, stanowiące wahadłowe zawieszenie ławeczki, są okręcone łańcuchem razem z ramą, stanowiącą zasadniczą konstrukcję huśtawki, i że łańcuch ten spięty jest masywną kłódką zamkniętą na amen. To było coś zupełnie nieoczekiwanego. Wszyscy stali zaniepokojeni i smutni.

— Kto ją zamknął? — drapał się w głowę Sławek.

— No, kto? — warknął Edek. — Wiadomo! Przewodniczący!

— A widzicie! Doigraliście się! — zapiszczała Elżunia.

Jednak okazało się, że to nie Przewodniczący.

— Nie, moi kochani mali obywatele! To nie ja. — Oświadczył uroczyście. — To nie moje metody postępowania. Zdumiewa mnie łańcuch i ta kłódka.

Wszyscy zaniemówili ze zdziwienia. Gdy wrócili po lekcjach ze szkoły, nic się nie zmieniło. Huśtawka stała skrępowana łańcuchem jak kajdaniarz. Huśtawkowicze łamali sobie głowy, kto to mógł zrobić.

— To na pewno pan Smętny, bo mówił, że mu struny pękają...

Ale to właśnie pan Smętny zawiadomił detektywa Tutama o całym wydarzeniu. Czyż mógł ją zamknąć, a potem go wzywać? Nonsens. Ciekawa historia, ale i jakaś smutna, bo ta huśtawka, zamiast stać się wspólną radością, skłóciła wszystkich i podzieliła.

W tym właśnie miejscu do akcji wkroczył detektyw Tutam.

Najpierw dokonał wizji lokalnej, to znaczy obejrzał dokładnie huśtawkę, a potem łańcuch i kłódkę. Potem odbył kolejno rozmowy ze wszystkimi wmieszanymi w wydarzenie. Każdemu stawiał dwa pytania.

— Sławku, czy to ty zamknąłeś huśtawkę na kłódkę?

— Ja? Skąd? Przecież ja orbitowałem aż do kręćka!

— A jak przypuszczasz, kto to mógł zrobić?

— Nie mam pojęcia. Jakiś supercymbał!

— Edziu, czy to ty? — zwrócił się detektyw do Edka.

— Ja? Skąd? Ja też orbitowałem na cały regulator!

— A jak przypuszczasz, kto to mógł zrobić?

— Nie mam pojęcia. Jakiś superbałwan!

I tak mniej więcej przebiegały te wszystkie rozmowy. Z Elżunią podobnie.

— Elżuniu, czy to ty?

— Ależ, proszę pana! Skąd! Przecież mnie wszystko jedno, czy huśtawka jest zamknięta, czy otwarta, bo ten Edek i Sławek i tak nikogo nie dopuszczają!

— Hm. A jak myślisz, Elżuniu, kto to mógł zrobić?

— Bo ja wiem? Może pani Melania Drążek, bo ona zawsze się gniewa, że krzyczymy pod oknem.

Detektyw poszedł do pani Drążek.

— Szanowna pani — zapytał — czy pani coś wiadomo o tej huśtawce i o kłódce?

— Owszem — odpowiedziała pani Melania

kręcąc korbką młynka do kawy. — Wiadomo mi, że się cieszę, że nareszcie ktoś zamknął tę piekielną maszynę! Jest nareszcie ciszej... A w ogóle to należałoby tę... tę hałastrę rozpędzić na cztery wiatry!

— Ale to nie pani zamknęła huśtawkę?

— Co to, to nie. Muszę się jednak przy okazji panu poskarżyć, że od tego wrzasku można oszaleć.

— Współczuję pani. A jak pani przypuszcza, kto mógł to zrobić?

— Nie mam pojęcia. Ale błogosławię ręce, które to zrobiły.

— Dziękuję pani.

Tyle dała detektywowi Tutamowi wizja lokalna i rozmowy. Dużo czy mało? Na pozór bardzo mało. Nic. A w gruncie rzeczy... Opowiadał później zainteresowanym, że już wtedy po tej wizji i po tych rozmowach domyślił się, kto zamknął huśtawkę. Było to wprawdzie przypuszczenie, ale tak zdecydowane, że graniczyło z pewnością. Musiał jednak jeszcze znaleźć dowód przygważdżający, to znaczy klucz od kłódki i tego, w czyich rękach on się znajdował.

Uwagę Tutama, jak później opowiadał, zwróciły dwie rzeczy. Pierwsza z nich to kłódka. Widać ją na rysunku. Nie ma ona dziurki. Co to znaczy? To, że zaczepiona została dziurką do spodu. To jasne. Ale detektyw Tutam postawił sobie pytanie: kto ją mógł i dlaczego tak powiesić i czy o tym mógł zdecydować przypadek, czy jakiś zupełnie określony powód. Otóż słusznie doszedł do wniosku, że nie musiał to być przypadek. Że mogło to powstać wskutek tego, że zakładający łańcuch i kłódkę był leworęki — był mańkutem. Musiał ująć kłódkę w prawą rękę i, żeby łańcuch nie spadł z pałączka, musiał ją odwrócić dziurką do spodu! Następnie lewą ręką, u mańkuta sprawniejszą, wykonał szereg skomplikowanych czynności z łańcuchem okręconym dookoła ramy i na końcu lewą ręką przekręcił klucz w kłódce zwisającej odwrotnie. Tak nie musiało być, ale tak być mogło. Cóż więc należało zrobić? Obserwować ręce wszystkich uczestników huśtawkowej awantury z panią Melanią Drążek włącznie. Detektyw czynił to przeprowadzając przesłuchania. Widział, że Sławek i Edek grali w ping-ponga normalnie — prawymi rękami. I również prawą ręką kręciła coś w młynku do kawy pani Drążek. Natomiast Elżunia... Gdy Tutam podszedł do niej, by przeprowadzić rozmowę, bawiła się piłką. Odbijała ją o ziemię lewą ręką! To oczywiście jeszcze nie był dowód winy, ale i dowód wkrótce się znalazł. Detektyw Tutam taką z nią niebawem przeprowadził rozmowę.

— Elżuniu, dlaczego, gdy pytałem cię o kłódkę i huśtawkę, powiedziałaś, że nic o tym nie wiesz, a przecież zrobiłaś to ty.

— Ja?! Wcale nie ja! Co pan ode mnie chce?!

— Nie kłam. Ty. To jest klucz od kłódki. Byłem u ciebie i razem z twoją mamą znalazłem ten klucz w kieszeni twego płaszczyka.

Elżunia nie wiedziała, co się z nią dzieje.

— Bo...

— Dlaczego to zrobiłaś i dlaczego kłamiesz?

— Bo... Oni nie dawali mi się huśtać... Te dwa dryblasy, Sławek i Edek... I wszyscy... I, i ja tylko stałam i patrzyłam. To mnie taka złość wzięła... Bo ja, proszę pana, tylko tak wyglądam jak ptaszek. Ale ja jestem okropnie zawzięta. Jak ja nie, to i oni nie! No, i zamknęłam... I wcale nie żałuję, że tak zrobiłam! Wcale. Bo ja ich nienawidzę! I pana też nienawidzę, bo pan mnie...

*

Tak to było. Wszystko na opak. Bo huśtawka, zamiast być wspólną radością, stała się, jak to powiedział Przewodniczący, kością niezgody, a sposób, w jaki sprawę załatwiła Elżunia, był koroną wszystkiego. Przecież należało postąpić zupełnie inaczej. Jak — to wszyscy wiedzą. Warto jednak na zakończenie dodać, że ta detektywistyczna interwencja detektywa Tutama dobrze wszystkim zrobiła, że całe to niezorganizowane towarzystwo od dnia tego zaczęło się huśtać po sportowemu i, po koleżeńsku. Po kolei, na czas, z zegarkiem w ręku. I jak kto mógł najwyżej.

Jerzy Kierst
Rys. Jerzy Flisak

(Fragment z książki „Przygody detektywa Tutama")

Limeryki TADEUSZA FANGRATA

Przed wielu laty...

Przed wielu laty w miasteczku Szadek
zdarzył się taki oto wypadek:
syn powiedział matce to, że
do szkoły chodzić nie może,
i chodził za niego dziadek.

Pewien szewc łaciarz...

Pewien szewc łaciarz ze wsi Lubosze,
co w dnie upalne nosił kalosze,
tłumaczył ludziom zdziwionym,
że jest do tego zmuszony,
bo mu schowała żona bambosze.

DLACZEGO ŁODZIE KRAJOWCÓW NA PACYFIKU MAJĄ PŁYWAKI?

Dawnymi czasy żył na Wyspach Trobrianda — Tokesikuna z Digumenu. Był to bardzo silny, lecz brzydki mężczyzna. Z wypraw morskich przywoził zawsze najwięcej ryb, a jego łódź była najszybsza. Lecz żadna kobieta nie chciała zostać jego żoną.

W owych czasach ludzie z Wysp Trobrianda potrafili żeglować tylko w jednym kierunku — z wiatrem. Dlatego nigdy nie mogli odpływać daleko. Tokesikuna był nie tylko dobrym żeglarzem, znał też zaklęcia i czary. Kiedyś, gdy płynął po morzu, usłyszał z oddali głos konchy*. Był on tak piękny, że postanowił dowiedzieć się, skąd pochodzi, i zdobyć taką konchę. Dowiedział się o krainie Kokopawa, której mieszkańcy wyrabiali magiczne konchy. Wyruszył tam i zdobył taką konchę. Gdy powrócił do swojej wioski, siadł nocą na brzegu łaguny i zaczął grać. Pod wpływem cudownych dźwięków konchy jego skóra wygładziła się, ręce i nogi wyprostowały, twarz wypiękniała. Tokesikuna stał się wspaniałym mężczyzną. Przechodzący brzegiem laguny wódz wioski zobaczył go i tak się nim zachwycił, że postanowił oddać mu córkę za żonę. Ale nie podobało się to innym mężczyznom. Uradzili, że trzeba pozbyć się Tokesikuny. Powiedzieli mu:

— Wódz chce zjeść największego małża. Idź i złów go!

— Jak mam to zrobić? — spytał Tokesikuna.

— Gdy zobaczysz, że ma rozwarte skorupy, włóż tam głowę.

Oznaczało to śmierć, gdyż małż, zamykając skorupy, odciąłby mu głowę.

Jednakże Tokesikuna dał nurka i z nadludzką siłą rozerwał skorupę potężnego małża i wyniósł go na powierzchnię.

Mężczyźni obmyślili więc inny sposób zabicia Tokesikuny.

— Pojedziemy łowić rekiny — powiedzieli. — A ty schwytaj rekina rękami. To najłatwiejszy sposób.

Gdy wrzucili przynęty do wody, zaroiło się w niej od olbrzymich rekinów błękitnych. Ale Tokesikuna udusił największego żarłacza. Zobaczyli więc, że w ten sposób nie dadzą sobie rady z Tokesikuną. Postanowili jednak spróbować jeszcze raz. Zaprosili Tokesikunę i jego narzeczoną na przejażdżkę po morzu. I powiedzieli:

— Popłyniemy tym razem nie na północ z wiatrem, lecz na południe.

— Jak to zrobimy? — spytał Tokesikuna. — Przecież nikt nigdy tak nie pływał. Pasat** wywróci nasze łodzie, gdy obrócimy je na południe, i niechybnie potoniemy.

— Zrobimy tak — odpowiedzieli mężczyźni — do łodzi przywiążemy liście palmowe, które oprą się wiatrowi.

---

* *koncha — muszla*

** *pasaty — stałe wiatry podzwrotnikowe.*

Był to podstęp.

Na drugi dzień rano wielka flotylla łodzi wyruszyła na morze. Wagu (łódź) Tokesikuny płynęła na przodzie. Gdy byli już daleko od swojej wyspy, mężczyźni zawołali:

— Teraz skręcamy na południe! Niech nasze liście zatrzymają wiatr!

Tokesikuna zrobił zwrot, lecz jego towarzysze płynęli dalej w tym samym kierunku. Wiatr uderzył w łódź, przechylił ją, a fale zaczęły zalewać wnętrze. Liście palmy nie mogły stanowić żadnej podpory. Wtedy narzeczona Tokesikuny zawołała:

— Weź czarodziejską konchę i zagraj pieśń magiczną!

Tymczasem wody w łodzi przybywało i fale coraz bardziej przechylały ją na burtę. Gdy Tokesikuna zagrał pierwszy raz, jego narzeczona zastygła w bezruchu. Gdy zagrał drugi raz, cała jej postać wydłużyła się. Zagrał trzeci raz i jej skóra ściemniała i stała się podobna do kory drzewa. Gdy zadął w konchę czwarty raz, zniknęły jej oczy, usta i włosy. I powoli zamieniła się w długą, drewnianą belkę, wpadła do morza, a jej ręce zamienione w gałęzie połączyły belkę z łodzią. Tokesikuna stał bez ruchu, przerażony tą przemianą. Ale zauważył, że jego łódź wyprostowała się i dzielnie płynie pod wiatr, a belka-pływak nie pozwalała jej przewrócić się. Płynął tak jeszcze przez długi czas, opłakując swą narzeczoną, która poświęciła się, by ratować mu życie. W miejscu, gdzie to się stało, wyrosła z czasem rafa koralowa. A Tokesikuna, nauczywszy się budowy łodzi z pływakiem, przekazał umiejętność pływania pod wiatr swym krewnym i całej wiosce. Tak oto Trobriandczycy nauczyli się żeglować we wszystkich kierunkach.

Janina Datko
Rys. Zdzisław Byczek

(Legenda oparta na motywach opowiadań wyspiarzy z Frobriandów, zanotowanych przez Bronisława Malinowskiego)

JESTEŚMY NA BIWAKU

Ten, kto zielonym nie szedł szlakiem
ze śpiewem, śmiechem i plecakiem
do tego miejsca na polanie,
gdzie biwakowy namiot stanie,

kto nie rył w ziemi czterech dołków,
kto nie wbił w dołki czterech kołków,
by namiot rozpiąć należycie —
ten nie wie, co wspaniałe życie.

Kto nie wysłuchał już od świtu
ptasich serenad i big-beatów,
kto ze strumienia wody nie niósł,
w siatkówkę nie grał w brzozy cieniu,

kto przy polowej swej kuchence
z menażką albo kubkiem w ręce
nie pałaszował strawy w trawie —
ten nic o szczęściu nie wie prawie.

Kto nie wędrował ranną rosą
grzybów i jagód szukać boso,
gdy pierwszy promień, ten radosny,
różowo strzela spoza sosny,

kto zasypiając nie usłyszał,
jak wśród gałęzi śpiewa cisza,
jak się źdźbła trawy do snu kładą —
ten nie wie, co prawdziwa radość.

Hanna Łachocka

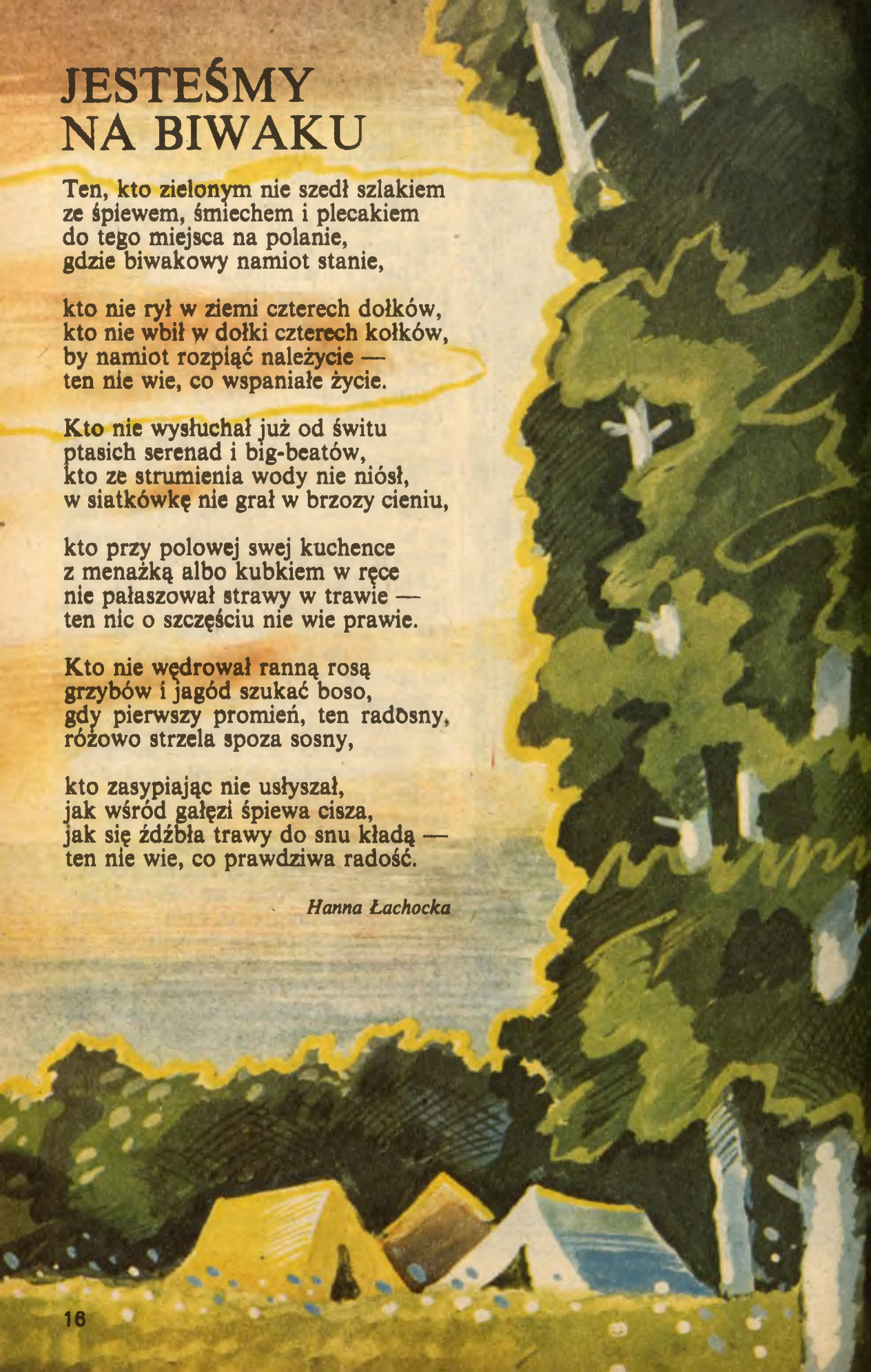

NA WARCIE

Świergocą ptaki. Każdy z nich
piosenką dzień wstający wita.
A słońce wśród sosnowych pni
wędruje i o drogę pyta.

Trafiło wreszcie do namiotu,
przez szparę się promykiem wciska
i na powiekach plamą złotą
kładzie się niby blask z ogniska.

A Majka się zasłania dłonią
i spędza z oczu blask uparty.
Więc ptaki na pobudkę dzwonią:
„Już ranek! Wstawaj, zmiana warty!"

Pobiegła Majka do potoku,
by zimną wodą przemyć oczy,
a słońce jej podaje z boku
promyk na spinkę do warkoczy.

Jak słońce jasna, jak ptak świeża
Maja melduje się u Marty:
— Gdyby nie słońce i nie ptaki,
przespałabym dziś zmianę warty!

Ludmiła Marjańska

* * *

W lesie jest tajemnica
jest sen
zamknięty w chwili milczenia
ptaki gubią pióra
tęczowe koła rozpryskują się na niebie
w prześwitach między wierzchołkami

las nie jest obojętny
w lesie jest tajemnica

Zofia Beszczyńska
Rys. Zdzisław Byczek

POJEDYNEK NA JĘZYKI

Hodża Nasreddin minął w zamyśleniu mury starej uczelni Diwan-begi, wkroczył na najpiękniejszy plac Buchary o wdzięcznym imieniu Ljabi-chauz i nagle stanął jak wryty. Z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczyma spoglądał na olbrzymie mosiężne samowary buchające wrzątkiem, na przypalające się na rożnach baranie szaszłyki, przy których nie było nikogo, ani gości, ani nawet kuchcików. Gdzie podziali się ludzie? O tej porze dnia mieszkańcy grodu zwykli przecież ucztować w cieniu rozłożystych wiązów, w leciuteńkim chłodzie płynącym znad największego w Bucharze zbiornika z wodą.

Mędrzec postąpił ostrożnie kilka kroków do przodu. Zerknął podejrzliwie w prawo i w lewo. Nadstawił ucha.

Gwar głosów dochodzący zza murów sławnej uczelni Kukeldasz wskazał mu drogę właściwą. Nic nie

pojmując ruszył w tamtą stronę. Na widok potężnego tłumu sterczącego nieruchomo Hodża przyspieszył kroku. Zawołał z daleka:

— Co was tak zainteresowało, czcigodni? Jakiż to cud świata nakazał wam zebrać się w gromadę wielką i zapomnieć o stygnących posiłkach? Czyżbyście ujrzeli gadającego ptaka z dalekich Indii, czy może bogacza rozdającego monety ludziom ubogim?

Powitały go radosne okrzyki.

— O bogaczu z własnej woli ofiarującym srebro biedakom nikt jeszcze nie słyszał na tej ziemi, afandi. Hojnych wielmożów można spotkać tylko w bajaniach dla małych dzieci. Poniosła cię fantazja, Hodżo. Ale i tak niewiele się pomyliłeś. Mamy tu bowiem gościa z Indii. Co prawda, nie gadającego ptaka, ale filozofa w ludzkiej skórze i rozmownego nie mniej od papugi. Dobrze uczyniłeś przychodząc tutaj, afandi. Może tobie uda się odpowiedzieć na pytania, jakimi Hindus zasypuje nas od godziny. Głowę ma napełnioną przedziwnymi zagadkami, które odgadnąć trudno.

Hodża ucieszył się.

— Bardzo lubię zagadki. Wpuście mnie do środka, czcigodni. Niechaj wysłucham choć jednej.

Dostojny mąż w śnieżnym turbanie na głowie, z brodą bieluteńką niczym owcze mleko, nie zdziwił się z przybycia jeszcze jednego gapia. Stojąc pośrodku tłumu obojętnie spojrzał na Hodżę Nasreddina, po czym zapytał go, jak przedtem wielu innych.

— Jesteś mieszkańcem tego miasta, wiesz więc zapewne, kto w Bucharze nosi największą czapkę?

— Oczywiście, wiem. Ten, kto ma największą głowę — odpowiedział spokojnie Hodża.

— Oho, widzę, że głowa służy ci nie tylko do noszenia czapki — Hindus cmoknął głośno w dowód uznania. — A czy wobec tego wiesz, co jest najbardziej podobne do połówki arbuza?

— Druga połówka — odrzekł bez namysłu Hodża.

— Trudno zaprzeczyć — zgodził się z nim Hindus i zapytał po raz trzeci: — Czy wiesz, bucharczyku, co rośnie do góry korzeniem?

— Ząb w mojej górnej szczęce — odpowiedział ze śmiechem Hodża.

Słysząc zaskakujące rozwiązanie zagadki tłum zafalował z radości i wybuchnął ogromną uciechą. Na tę nieoczekiwaną wrzawę zareagowały natychmiast przeraźliwym wrzaskiem osiołki stojące w pobliżu. Spłoszone szpaki z piskiem i furkotem skrzydeł zerwały się z drzew rosnących nad basenem. Przez dłuższą chwilę nie można było niczego usłyszeć poza śmiechem ludzi, piskiem ptaków i rykiem zwierząt długouchych.

Kiedy tłum uspokoił się wreszcie, a szpaki przysiadły znów na gałęziach, Hodża Nasreddin zwrócił się do Hindusa.

— Myślę, że teraz kolej na mnie, czcigodny przybyszu. Posłuchaj więc bucharskiej zagadki: „Aby dożyć dziewięćdziesięciu lat, musiałbym przeżyć na tym świecie jeszcze trzy swoje dotychczasowe życia". Pomyśl i odpowiedz, o czcigodny, ile miałem lat, gdy wymawiałem te słowa?

Filozof indyjski spojrzał z podziwem na Hodżę. Nie spodziewał się znaleźć w Bucharze godnego przeciwnika w pojedynku na języki. Pokiwał głową z uznaniem, po czym patykiem zaczął kreślić na piasku dziwne znaki, mające mu ułatwić odszukanie prawidłowej odpowiedzi na pytanie mędrca.

*

Przeczytajcie jeszcze raz uważnie słowa Hodży Nasreddina i spróbujcie znaleźć rozwiązanie bucharskiej zagadki.

Zdzisław Nowak
Rys. Jerzy Flisak

(Fragment z książki „Książę Łuczników. Figle i zadania mądrego Hodży".)

Fot. Michał Wdowiak

FOTOGRAFOWAŁ STEFAN RUTKOWSKI

BĘDZIE CHLEB

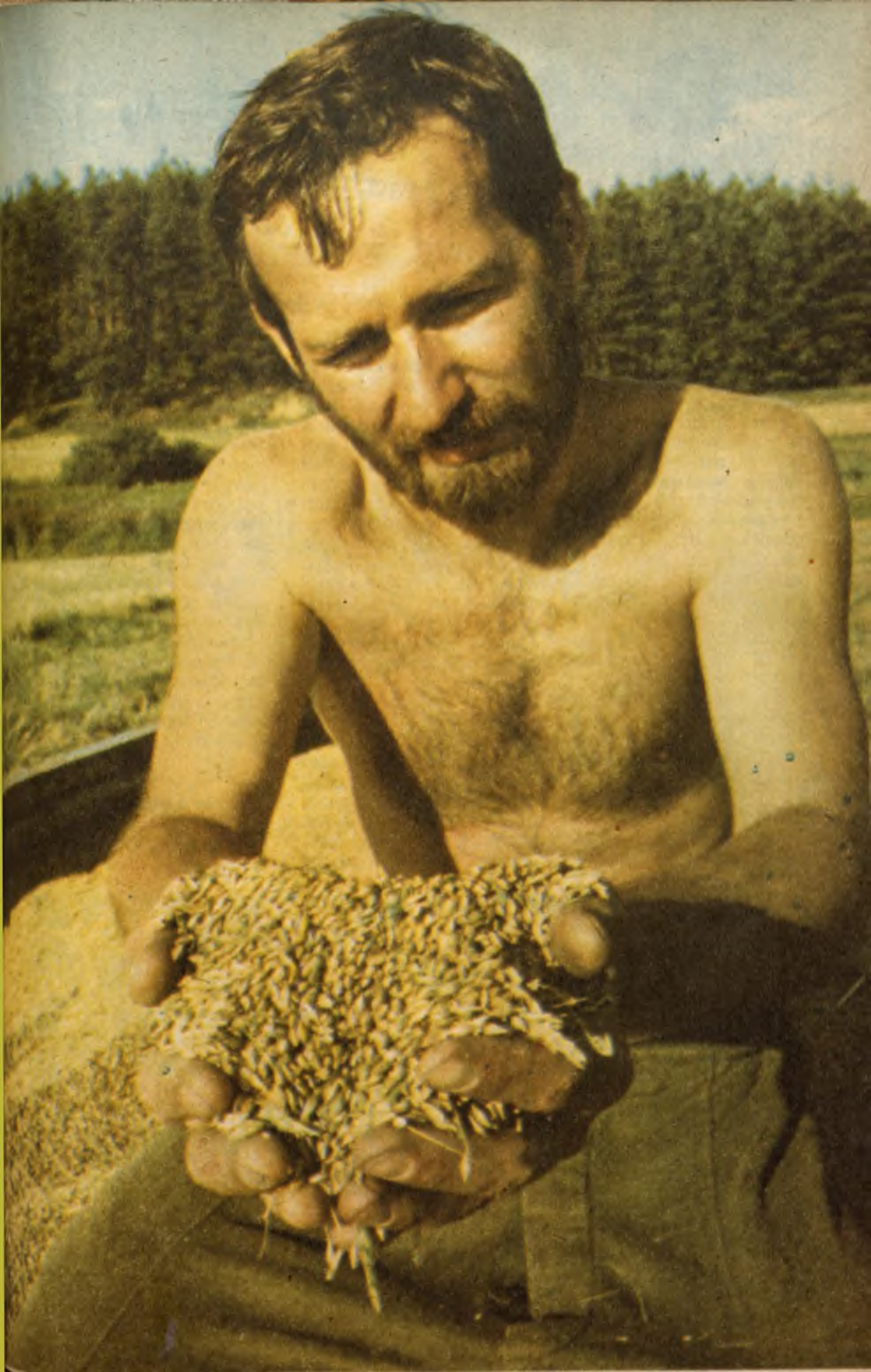

JAK TO SIĘ BAWIĆ

ZABAWY LUDOWE ZE WSI LASKOWA

Walka wężów

Uczestnicy zabawy formują dwa węże — dwa rzędy ustawione naprzeciw siebie. Każde z dzieci trzyma swego poprzednika obydwiema rękami w pasie. Przewodnik każdego węża stara się pochwycić ostatnie dziecko z przeciwnego węża, a zarazem kieruje swoim rzędem tak, aby chronić ogon swego węża, w czym mu jego grupa wydajnie pomaga. Każdy schwytany uczestnik zabawy dołączony zostaje do przeciwnej grupy. Przewodnik ustawia go za sobą.

Zabawa trwa dotąd, aż jeden wąż znacznie się powiększy, w drugim natomiast zostanie tylko kilku graczy.

Mruczek

Jeden z uczestników zabawy stoi z zawiązanymi oczyma w środku koła. Wyciąga ręce w przód i idzie tak, aby natrafić na kogoś stojącego w kole. Gdy go dotknie, mruczy, żądając w ten sposób odpowiedzi, którą jest również mruknięcie. Po tym mruknięciu mruczek musi poznać, kogo dotknął.

Mruczek nie może pomagać sobie rękoma (np. dotykając rąk, ramion, twarzy), musi zgadnąć, kogo dotknął słysząc jedynie jego głos. Inni uczestnicy zabawy powinni zachowywać się bardzo cicho.

Chiński mur

Wyznaczona do zabawy przestrzeń ma kształt prostokąta przeciętego „chińskim murem", czyli pasem o 2—3 m szerokości, nakreślonym wzdłuż całego prostokąta w jego środkowej części. W ten sposób przestrzeń, na której odbywa się zabawa, podzielona jest na trzy części. Na chińskim murze stoi strażnik, a naprzeciw niego wszyscy uczestnicy zabawy. Na ustalone hasło biegną oni poprzez mur na przeciwną stronę. Strażnik stara się chwycić jak największą liczbę przebiegających, a każdy, kogo schwyci, staje się jego pomocnikiem. Strażników jest coraz więcej i coraz trudniej jest przebiec na drugą stronę. Wygrywa ten, kto ostatni przedostał się przez chiński mur i w następnej rozgrywce on zostaje strażnikiem.

Te i inne zabawy znajdziecie w książkach Lidii Michalikowej pt. „Tradycyjne zabawy ludowe"

GWIAZDY

W piękną noc sierpniową,
gdy już wszyscy spali,
spojrzałem na niebo
granatowe w dali.

Wróżka czarnowłosa
warkocz sobie wiła,
koronę z diamentów
w kąt świata rzuciła.

W krąg prysły diamenty,
potłuczony każdy.
I odtąd spadają
na ziemię jak gwiazdy.

Laszlo Gyula
Z węgierskiego przełożył Tadeusz Fangrat

Przed rokiem miałem miłą sposobność poznać nieśmiałą Panią, która przyszła do Redakcji „Życia Literackiego" przynosząc swoje wiersze. Były to wiersze dla dorosłych, ale wśród nich znalazły się również te dwa wzruszające wiersze dla dzieci. Z przyjemnością polecam je uwadze Redakcji i Czytelnikom „Płomyczka". Utwory te posiadają wiele ciepła i poetyckiego wdzięku. Życzę Miłej Pani Ani, aby dzieci polubiły Jej wiersze.

Tadeusz Śliwiak

CHMURA

Mknie po niebie chmura
chmurzysko.
Wciąż ją popycha,
dmucha jej do ucha
wiatrzysko.

Ucieka biedna,
zaraz kapnie jej łezka.
Jeśli spadnie, będzie w niebie
dziura niebieska.

Anna Jabłońska

NOC

Noc — niedźwiadek czarny —
siada cicho w progu,
liczy skrzętnie gwiazdy
jak kropelki miodu.
Rankiem niebieskawym
wstaje, dokądś człapie.
Dokąd? Nie wiem. Ślady
zasypuje makiem.

ORZESZEK

Ja, orzeszek, brat orzecha,
mieszkaniec łupiny,
na znalazcę cicho czekam
w szeleście leszczyny.
Kto mnie weźmie choć na chwilę
w ciepłe, chętne ręce?
Kto posłucha, jak mi bije
orzeszkowe serce?

Anna Jabłońska
Rys. Teresa Jaskierny

Martwy las, zasypany przed wiekami piaskiem

▲ *Roślinność nieustannie walczy z piaskiem*
▼ *Na szlaku przez wydmy*

ŁEBSKIE DIUNY

Dawno temu na wybrzeżu u ujścia Łeby mieszkali korsarze. Ci rozbójnicy morscy napadali na statki płynące z cennym ładunkiem, rabowali skarby, a następnie ukrywali je na lądzie. Jednak Neptun, bóg chmur, deszczu i wód, zagniewał się na nich i tak pokierował wiatrem, że zasypał on pirackie skarby wielkimi wydmami. Od tej pory wydmy wciąż zmieniają swe kształty i położenie, co uniemożliwia odnalezienie ukrytych skarbów.

Tak głosi legenda. Dotyczy ona jednego z najpiękniejszych polskich zakątków — Słowińskiego Parku Narodowego.

Występują tutaj wędrujące wydmy piaszczyste, jedne z największych w Europie, zwane przez miejscową ludność diunami. Park obejmuje obszar ciągnący się około 32 km wzdłuż brzegu Morza Bałtyckiego w okolicy Łeby. W jego obręb wchodzi brzeg morski na odcinku między jeziorami Łebsko i Gardno, oba te jeziora z przyległymi terenami oraz mierzeje dzielące jeziora od morza.

Kiedyś, przed wiekami, nie były to jeziora, lecz zatoki morskie. Z czasem, pod wpływem silnych fal podrywających z dna morskiego piasek oraz pod wpływem wiatru przenoszącego piasek z miejsca na miejsce utworzyło się pasmo lądu zamykające zatoki. To są właśnie te mierzeje oddzielające jezioro Łebsko i Gardno od morza.

Przemieszczanie się ogromnych zwałów piasku trwa nadal. Na Mierzei Łebskiej wydmy przesuwają się w ciągu roku około 8 metrów na wschód i 1 metr na południe zasypując las i jezioro. W innych miejscach wydmuchiwany piasek odsłania wcześniej zasypany las — las martwy, kikuty uschniętych drzew.

Cała przyroda tego regionu pozostaje pod wpływem morza. Najbardziej z morzem stykająca się plaża jest zupełnie bezroślinna. Następnie mamy pas wydm białych z pionierską roślinnością, usiłującą się tu zakorzenić w skrajnie niekorzystnych warunkach. Potem są tzw. wydmy szare z coraz bogatszą florą i fauną. A wreszcie jest strefa borów sosnowych z charakterystycznymi drzewami o wykrzywionych i niskich koronach.

Na terenie Słowińskiego Parku Narodowego żyje około 250 gatunków ptaków, wiele gadów i płazów, liczne ssaki, a wśród nich: jelenie, sarny, lisy, piżmaki, borsuki, wydry,

Pierwsze zwiastuny drzew na wydmach ▶

Kanał portu rybackiego w Łebie

tchórze, łasice, jenoty, wiewiórki, jeże, a trafiają się i wilki.

Warto jeszcze wiedzieć, że Słowiński Park Narodowy został utworzony w 1966 roku jako drugi nad Bałtykiem po Wolińskim Parku Narodowym. Nazwa Słowińskiego Parku wywodzi się od dawnej ludności pomorskiej Słowińców, spokrewnionych z Kaszubami. Skutecznie bronili się oni przez długie lata przed germanizacją.

Powierzchnia parku wynosi ponad 18 tysięcy hektarów, w tym na rezerwat ścisły przypada 5 tys. ha, tutaj ścisłej ochronie podlega roślinność, ptactwo i ryby. Najwyższe wzniesienie na obszarze parku sięga 56 m nad poziom morza. Jest to najpotężniejsza wydma, już ustalona i porośnięta lasem. Największą jednak atrakcją turystyczną są olbrzymie wydmy ruchome zwane Białymi Górami, zajmujące kilkaset hektarów powierzchni. Najwyższa z nich, tzw. Góra Łącka (42 m wysokości) znajduje się we wschodniej części Mierzei Łebskiej. Trwa tu nieustanna walka roślinności z piaskiem i wiatrem.

Nad całą okolicą, ale już poza terenem parku, góruje wzniesienie morenowe zwane Rowokół (115 m wysokości). Stąd roztacza się piękny widok na cały Słowiński Park Narodowy. Dogodnym punktem wyjściowym do wędrówek po parku jest Łeba. Jest to położone na wschodnim skraju Mierzei Łebskiej urocze miasteczko, port rybacki, kąpielisko i miejscowość wczasowa. We wsi Kluki, po zachodniej stronie Jeziora Łebskiego, w jednej z zagród słowińskich mieści się muzeum etnograficzne.

No, i uwaga: na obszarze Słowińskiego Parku Narodowego wolno poruszać się tylko po oznakowanych szlakach turystycznych.

Dobrosław Klimek
Fot. Tadeusz Drankowski

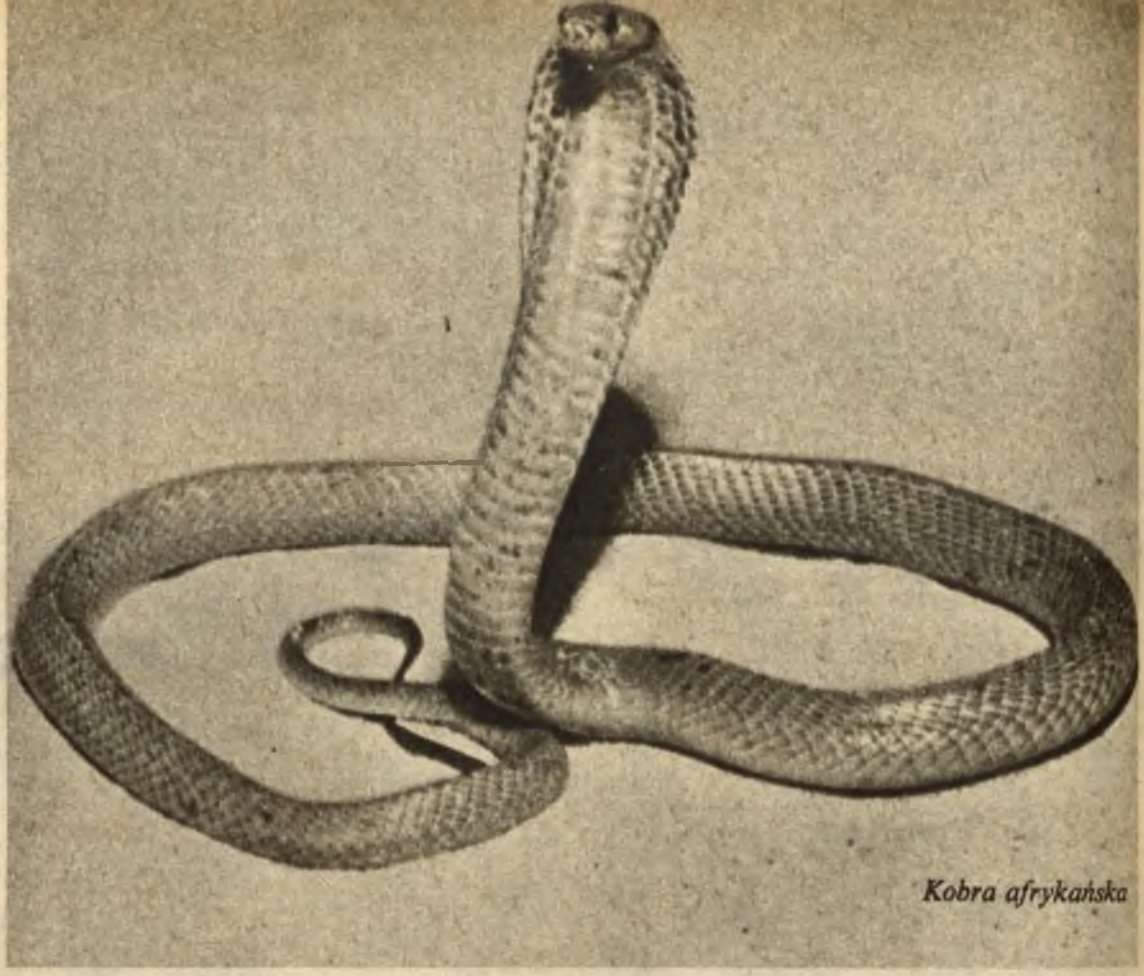

Kobra afrykańska

KOBRY

Wszystkie kobry są wężami jadowitymi i bardzo niebezpiecznymi. Mówię „kobry", gdyż pod tym określeniem kryje się więcej niż jeden gatunek węży. Najlepiej znaną, przynajmniej z wyglądu, jest kobra indyjska, zwana również okularnikiem. Wąż ten miewa długość do 1,5 metra. Zapewne i Wy na filmie lub fotografii, mieliście okazję zobaczyć to zwierzę. Jego charakterystyczną cechą jest dziwaczny deseń na skórze szyi, przypominający kształtem okulary. Gdy podniecona lub zaniepokojona kobra unosi w górę przód ciała, „spłaszcza" przy tym szyję, a rozpięta na żebrach skóra tworzy szeroką tarczę, na której wyraźnie widoczne są te „okulary". W swej odstraszającej pozycji kobra wygląda doprawdy niezachęcająco i niewielu śmiałków odważyłoby się do niej zbliżyć. I słusznie! Jad tego węża jest bardzo silny. Obliczono, iż jeden gram jadu indyjskiej kobry wystarczy do zabicia 140 psów! Nawet młodziutkie, 5-tygodniowe kobry są już jadowite i potrafią pozbawić życia mysz lub innego małego gryzonia. Wprawdzie kobry indyjskie nie przejawiają zbytniej agresywności i przy spotkaniu z człowiekiem starają się zejść

Kobra indyjska

mu z drogi, ale jeśli się je przestraszy lub uniemożliwi ucieczkę — robią nagły użytek ze swoich straszliwych zębów. Węże te żyją w różnych środowiskach: w dżungli, na polach, w parkach, a nawet zaglądają do ludzkich siedzib, gdzie przyciąga je obecność szczurów, myszy oraz drobiu. Dlatego np. w Indiach takiego niemiłego spotkania nie można wykluczyć. I choć kobry niszczą wiele gryzoni-szkodników, nie są specjalnie lubiane...

Bliską krewniaczką kobry indyjskiej (okularnika) jest kobra królewska. Jej rozmiary są imponujące: przeciętnie osiąga ona długość 4 metrów, ale podobno trafiają się sztuki mierzące aż 5 metrów! Ze wszystkich jadowitych węży właśnie kobra królewska jest największa, a po ukąszeniu przez nią człowiek może umrzeć w ciągu zaledwie kilku minut.

Kobra królewska wygląda mniej malowniczo niż indyjska, gdyż nie może poszczycić się równie piękną tarczą szyjną — jej „kaptur" jest niewielki i owalny.

Kobra królewska rzadko tylko pojawia się w sąsiedztwie siedzib ludzkich. Najczęściej kryje się w górskich lasach, gdzieś w pobliżu wody, gdyż chętnie i dobrze pływa. Poluje głównie na inne węże, ale nie gardzi drobnymi ptakami i ssakami. Ponieważ kobra królewska jest tak ogromna i żywi się wężami, w pewnych rejonach Indii prości ludzie wierzyli, iż jest ona królem wszystkich węży, a być może i innych zwierząt.

Kobry królewskie i indyjskie troskliwie opiekują się swoimi jajami i w ich pobliżu stają się bardzo agresywne. W obronie swego potomstwa atakują każdego i dlatego w tym okresie są bardzo niebezpieczne. Kobra królewska nie tylko strzeże swoich jaj, ale jakby je „wysiaduje", gdyż owija się wokół nich własnym ciałem. Lepiej wtedy nie wchodzić jej w drogę...

Zarówno kobra indyjska, jak i królewska, żyją w Azji, w Indiach, Indonezji, w Chinach oraz na Filipinach. Istnieją również kobry, które występują na innym kontynencie: w Afryce. Do najlepiej poznanych należy okularnik egipski, zwany także wężem Kleopatry. Aby zrozumieć rodowód tej ostatniej nazwy, należy cofnąć się wiele wieków, aż do starożytności.

Po klęsce zadanej jej wojskom przez armię rzymską, piękna królowa Egiptu — Kleopatra postanowiła popełnić samobójstwo. Wybrała sposób dość oryginalny, dała się ukąsić jadowitemu wężowi. Ponieważ okularniki były wówczas bardzo liczne, być może wybór królowej padł właśnie na tego węża?

Okularnik egipski jest dużym, bo mierzącym ponad 2 metry wężem, który dobrze się czuje w różnych środowiskach: w lesie, w parkach, w sawannie. Poluje na jaszczurki, żaby i ptaki.

Kobra walczy z mangustą

Okularnikom, tak jak i innym wężom, jad umożliwia zdobycie pożywienia, gdyż za jego pomocą porażają swoje ofiary. Przeciwko człowiekowi używają swych jadowitych zębów jedynie w ostateczności, gdy same czują się zagrożone.

Pewne kobry afrykańskie wykształciły również inny sposób obrony. Wystraszony wąż unosi głowę do góry i... opluwa przeciwnika jadem! Przy tym doskonale celuje zwykle trafiając wroga w oczy. Silnie działająca, rozpylona w powietrzu trucizna powoduje silne bóle oczu, a nawet okresową ślepotę. Trudno mieć wężowi za złe, że się broni. W chwili niebezpieczeństwa każdy przecież ratuje się, jak potrafi...

Chociaż jadowite kobry są groźnymi przeciwnikami, ale i one mają naturalnych wrogów. Należą do nich mangusty. Te niewielkie, krótkonogie zwierzęta nie obawiają się węży, a ponieważ same są bardzo zwinne — najczęściej udaje się im uniknąć ukąszenia. Walka między mangustą i kobrą to zmaganie na śmierć i życie: wygra to z nich, które będzie szybsze... Zazwyczaj wygrywa mangusta.

Nie wszyscy ludzie panicznie obawiają się kobry. Tak zwani zaklinacze węży upodobali sobie właśnie kobrę indyjską i egipską i używają tych węży do swoich popisów. Jeśli wąż nie ma usuniętych zębów jadowych, taki pokaz, w czasie którego sztukmistrz całuje i dotyka swego podopiecznego, może się dla niego źle skończyć. Na szczęście zaklinacze świetnie znają obyczaje tych zwierząt i dobrze wiedzą, kiedy można się do nich zbliżyć.

Anna Siwkiewicz

Borowik szlachetny

BOROWIKI

Prawdziwek, borowik — to pożądana zdobycz grzybiarza. Grzyb ten jest znany każdemu, ale jego potocznej nazwy używa się nieprawidłowo — wg naukowców zajmujących się grzybami, czyli mikologów, grzyb ten nazywa się borowikiem szlachetnym. Oprócz szlachetnego, znanych jest kilkanaście pokrewnych borowików, zwykle barwnych — w różnych odcieniach żółci i czerwieni. Część z nich jest jadalna, część — trująca. Taki jest np. borowik szatański, czyli słynny szatan, w Polsce zresztą rzadko występujący. Pospolicie „szatanem" nazywa się u nas właściwie nieszkodliwego, choć gorzkiego goryczaka — grzyba pospolitego, o owocniku podobnym do „prawdziwkowego". W odróżnieniu od „prawdziwka" goryczak ma brunatną siateczkę na trzonie, podczas gdy prawdziwek — białawą, a szatan —

Borowik ceglastopory

purpurową; poza tym ten ostatni ma spód kapelusza czerwony, a goryczak — różowy.

Z naszych kolorowych borowików w niektórych rejonach kraju spotkać można dwa o ceglastym spodzie kapelusza — borowika ponurego i ceglastoporego. Miąższ ich jest żółty, ale po przekrojeniu natychmiast silnie niebieszczeje. Obydwa, spożywane na surowo, są szkodliwe, lepiej ich nie zbierać, niech kraszą nasze lasy.

Nasz prawdziwek ma różne formy co do kształtu i barwy, uważane nawet przez niektórych badaczy za odrębne gatunki, np. forma sosnowa o kasztanowej barwie kapelusza, forma usiatkowana występująca już wiosną w ciepłych lasach, czy wreszcie forma brzozowa o jasnych beżowych odcieniach. Borowiki rosną w symbiozie z korzeniami różnych, określonych drzew leśnych. Dlatego nie można ich uprawiać, jak np. pieczarki lub boczniaki. Okazuje się, że nawet wysianie zarodników nie na wiele się przydaje, gdyż otoczone grubą otoczką trudno się rozwijają. Otoczka ta może się naruszyć, np. w... żołądku przeżuwaczy, czyli krowy, owcy, sarny. Bez pośrednictwa tych zwierząt nie ma nowych prawdziwków! Cóż więc możemy zrobić, aby co roku zbierać prawdziwki? Pozostaje tylko kulturalne grzybobranie, bez rycia ściółki, w której rozwija się grzybnia — właściwe ciało grzyba, i bez zrywania starych, choć efektownych owocników, z których wysypują się zarodniki. Im więcej się zarodników wysypie, tym większe prawdopodobieństwo, że część z nich zje sarna i da możność rozwoju nowej prawdziwkowej grzybni.

Tekst i fot. Wiktor Pawłowski

PRAWDZIWKI

▲ *Borowik szlachetny*
◄ *Borowik ponury*
Goryczak żółciowy

Dopełnianka

Jaką sylabę należy umieścić w środkowym kółku, żeby można było odczytać cztery wyrazy? Kierunek odczytywania — do odgadnięcia.

Ukryte kwiaty

W poniższym tekście ukrywa się 12 nazw kwiatów. Odszukajcie je.
Mama kupiła Kasi nową książkę. Obrazów w niej bez liku! Wieczorem Kasia zabrała się do ich oglądania. Patrzy, a tu król macha berłem na stróża. Woła, by przyniósł królowej Lili ażurowy szal. Na drugim obrazku treser w cyrku tuli panterę. A w dali arlekin trzyma lwa i rysia. Na innym widzi, jak wiatr co krok usypał wysoką wydmę z piasku. Mama woła: Nie zapomnij, Kasiu, że jest już późno. Czas teraz iść spać. Jutro znów będziesz oglądać książeczkę!

Rozwiązanie bucharskiej zagadki ze str. 19

Bardzo często zdarza się, że na to pytanie pada odpowiedź: trzydzieści lat. Niestety, to błąd. Tak wydaje się rozwiązującym po niezbyt dokładnym zastanowieniu się. Tymczasem prawidłowa odpowiedź brzmi: dwadzieścia dwa i pół roku.
Czy potraficie to uzasadnić?

Eliminatka

K	U	A	C	Z	K	A
N	G	Ą	Ę	S	K	A
F	C	O	P	K	W	A
A	Ż	I	A	B	A	A
R	Z	Y	Ł	B	A	Ć
D	S	E	L	Y	F	I	N

Z poziomych rzędów wykreślcie nazwy sześciu zwierząt, które bardzo lubią wodę i umieją dobrze pływać. Pozostałe litery, czytane pionowo, utworzą rozwiązanie.

Krzyżówka

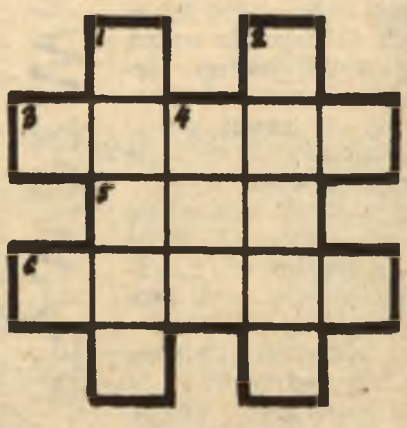

Do pustych kratek wpiszcie wyrazy o podanych znaczeniach:
Poziomo: 3) ptasi symbol pokoju, 5) drzewo liściaste, 6) jego narodowym strojem jest spódnica w kratę.
Pionowo: 1) szkocki instrument muzyczny, 2) rośnie w zbożu, 4) wylatuje z niego strzała.

Zagadka

Jego życie — los owada.
Wody nie pije,
brudną wełnę jada.

NASZ ZWIERZYNIEC

KRZYŻODZIÓB

Krzyżodziób żywi się nasionami świerka i w poszukiwaniu jego szyszek odbywa wędrówki do lasów północnej Europy i Azji. Takie wędrówki są zawsze na czasie, gdyż urodzaj na szyszki świerkowe powtarza się mniej więcej co 3—4 lata. Krzyżodziób sosnowy zjada nasiona sosny, a krzyżodziób dwupręgowy — modrzewia. I te ptaszki muszą szukać odpowiednich borów iglastych, w jakie obfitują północne obszary Eurazji. Nasz krzyżodziób świerkowy występuje w całym kraju — najwięcej jednak w górach i na północy kraju. Upierzenie jego, dostosowane barwą do otoczenia, jest zielonożółte u młodzieży, brunatnożółte u ptaków dorosłych, a nawet czerwone u niektórych krzyżodziobów. Charakterystyczną cechą tych ptaków jest silny dziób, którego górna część krzyżuje się z dolną na kształt szczypiec. Taki dziób jest dostosowany do wyłuskiwania nasion z szyszek. Jest to pracowite zajęcie, gdyż łuski, pod którymi znajdują się nasionka, z trudem dają się odgiąć. Krzyżodzioby wyłuskując nasiona zwisają głową na dół. W tej akrobatyce posługują się nie tylko nogami, ale i dziobem, jak papugi. Wszystkie krzyżodzioby są pożyteczne, albowiem wyłuskując nasionka drzew iglastych, wiele z tych nasion upuszczają na ziemię, gdzie one kiełkują i wyrastają z nich nowe drzewa. Krzyżodzioby znajdują pożywienie w każdej porze roku. Dlatego też mogą lęgnąć się zarówno w lecie, jak i w zimie. Zimowe wychowywanie piskląt nie jest dla tych ptaków aż tak wielkim utrudnieniem, jakby się zdawało. Muszą tylko zbudować cieplejsze gniazdko z mchu, samiczka musi dłużej siedzieć na jajkach. Samiec w tym czasie wyśpiewuje jej wiosenną piosenkę. Nie szkodzi, że pisklęta rodzą się w środku zimy. Jest ciepło od matczynego brzuszka, a wokół dużo, dużo szyszek jak cacek na choince. Na razie pisklęta mają dzioby proste, ale za parę tygodni nabiorą one właściwych kształtów, jak dzioby ich rodziców.

Franciszek Kobryńczuk

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4, skr. pocztowa 380 00-950 Warszawa Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:
kwartalnie — 150 zł, półrocznie — 300 zł, rocznie — 600 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Sabina Uścińska-Siwczuk (redaktor graficzny), Teresa Wilk-Białożej

RADA REDAKCYJNA:
Wojciech Żukrowski (przewodniczący), Hanna Bielawska, Jerzy Filsak, Ewa Jótwiak, Ludwik Jerzy Kern, Janina Mazur, Ewa Maria Pawlikowska, Zdzisław Pawłowski, Ewa Sadowska, Maria Wieliczko, Stanisław Wróblewski, Jerzy Zakrocki

WARUNKI PRENUMERATY:
— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę za zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1988 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, I rotogr. 125 g, 86×122 cm, kl. V

Zam. 2882/87 D-23
Nakład 300.000 egz.
ISSN 0137-8511

NASZ ZWIERZYNIEC

tekst na str. 31

KRZYŻODZIÓB

Fot. Michał Wlaziński

CENA 25 ZŁ